

Gość niedzielnny

Dodatek tygodniowy do Orędownika Śląskiego

Rok III.

Niedziela, dnia 12. marca 1922

Numer 10.

Niedziela II. postu.

Lekcja

I list św. Pawła do Tesalonicz rozdz. IV, wiersz 1—7.

Na ostatek tedy, bracia! żądamy was i prosimy w Panu Jezusie, aby jakoście wzięli od nas, jako się macie sprawować i Bogu się podobać, tak żebyście się i sprawowali, żebyście więcej obfitowali. Bo wiecie, które rozkazanie dałem wam przez Pana Jezusa. Albowiem ta jest wola Boża, poświęcenie wasze, żebyście się powściągli od porubstwa. Aby umiał każdy z was naczynie swe trzymać w świętobliwości i uczciwości. Nie w namiętności żądze, jako i poganie, którzy nie znają Boga. A iżby kto nie podchodził i nie oszukiwał w sprawie brata swego; albowiem, mścicielem jest Pan wszystkiego tego, jakośmy wam przedtem powiadali i oświadczały. Bo nas Bóg nie wezwał ku nieczystości, ale ku poświęceniu.

Ewangelja

według św. Mateusza rozdz. XVII wiersz 1—9.

A po sześciu dniach wziął Jezus Piotra, Jakóba i Jana, brata jego, i wprowadził je na górę wysoką, osobną. I przemienił się przed nimi. A oblecze jego rozjaśniało jako słońce, a szaty jego białe się stały jak śnieg. A oto im się ukazali Mojżesz i Elias, z nim rozmawiający. A odpowiadając Piotr, rzekł do Jezusa: Panie, dobrze jest nam tu być; jeżeli chcesz, uczynimy tu trzy przybytki, tobie jeden, Mojżeszowi jeden i Eljaszowi jeden. Gdy on jeszcze mówił, oto obłok jasny okrył je, a oto głos z obłoku mówiący: Ten jest syn mój miły, w którym sobie dobrze upodobał, jego słuchajcie. A usłyszawszy uczniowie, upadli na twarz swoją i bali się bardzo. I przystąpił Jezus i dotknął się ich, i rzekł im: Wstańcie, a nie bójcie się. A podniósłszy oczy swe nikogo nie widzieli, jednego samego Jezusa. A gdy zstępowali z owej góry, przykazał im Jezus, nikomu nie opowiadać widzenia, aż syn człowieczy zmartwychwstanie.

Nauka.

Przemienienie pańskie ma być dla nas pobudką, abyśmy się w tym czasie wielkiego postu przemienili w lepszych, i to dobrą spowiedzią. A dobra spowiedź zależy zaś od dobrego rachunku sumienia. Im lepiej rachunek sumienia zrobimy, tym lepsza spowiedź, rozumie się to już samo przez się. A mimo to, żał się Boże! — jak źle nieraz są ludzie przygotowani do spo-

wiedzi świętej. Już nic nie mówię o takich ludziach, którzy zaledwie wstąpiwszy do kościoła, zaraz bez wszystkiego wpadają do konfesjonału, bo to grzeszna lekkomyślność, przez którą spowiedź bardzo łatwo może być i nieważną, świętokradzką. Ale są i tacy, którzy nieraz dłuższy czas, nawet godzinami stawają przy konfesjonale, potem przychodzą i wyznawają jeden albo dwa grzechy i milczą. A gdy spowiednik ich wypytuje, to odpowiadają: „Nie wiem, nie pamiętam więcej, bo ja tam tak już nie grzeszę“. Nie są to tacy, którzy często i regularnie chodzą do spowiedzi świętej, lecz większą częścią ci, co raz albo najwyżej dwa razy w roku tylko do spowiedzi przystępują. Znać, że tacy biedacy wcale nie umieją się należycie przygotować, że rachunku sumienia wogóle nie zrobili. Nawet człowiek, który może co tydzień idzie do spowiedzi, nie może się odważyć rachunek sumienia opuścić, coż dopiero taki, który tylko w czasie wielkanocnym wypełnia swój obowiązek a potem myśli iż przez to już uczynił Panu Bogu dosyć na cały rok. Wiele bardzo potu kosztuje ta takiego człowieka rachunek sumienia — szczególnie, jeżeli lekkomyślnie przeżył ten cały rok. Pismo święte mówi, iż nawet najświętszy co dzień siedem razy upadnie do grzechu. Jak to ty sobie możesz pozwolić przy spowiedzi przez cały rok powiedzieć: „Ja wiem, czego się mam spowiadać“. Względem grzechów śmiertelnych trzeba badać i liczbę tych grzechów ile razy mniej więcej ten grzech popełniłeś w tygodniu, albo w miesiącu, albo w roku, albo przez cały czas. — Ale nie mów nigdy: „Czasem, często, kilka razy“. Bo to nie jest żadne podawanie liczby. Staraj się zawsze o jaknajlepszy rachunek sumienia przed spowiedzią, pomnij na słowo pisma świętego: „Przed sądem pytaj sam siebie, a przed oblicznością Bożą znajdziesz zmiłowanie“.

Prośba.

Błogosław, Boże, rolnika dłoni,
Nie dopuść nigdy nań głodu!
Gdy sieje, niech mu skowronek dzwoni,
Gdy zbiera, użyć mu chłodu.

Błogosław ludziom, którzy Twą wolę
Spełniają w bratniej miłości!
Jasną im ciszą opromień dole,
Twój anioł niech u nich gości!

Nam budzicieli wielkich, o Panie,
Harfiarzy daj miłujących —
A kiedy naród, zbudzon, powstanie,
Daj wodzów, w naród wierzących!
(Romanowski.)

Rozwój dramatu i opery w Polsce!

Za panowania Kazimierza jedynie Andrzej Morszbym tłumaczył i pisał dramaty. Dopiero August III, nadzwyczajny lubownik teatru, a mianowicie opery, gwałtem prawie zaszczerpił zamiłowanie w Polsce do tego rodzaju przedstawień i długoletni pokój przyczynił się do wzbudzenia upodobania w narodzie do teatru.

Monarcha kochał się w muzyce i na dworze swoim w Dreźnie posiadał wytworną orkiestrę i najlepszych śpiewaków w Europie. Przyjeżdżając do Warszawy, zabierał także swych artystów, którzy często w pokojach królewskich lub w kościele przygrywali.

W ujeżdżalni obok placu saskiego urządzono teatr, w którym dwa razy na tydzień dawano przedstawienia. Repertuar wskazywał wykonanie najpiękniejszych włoskich oper, oraz często występował wielki zespół baletu królewskiego z pięknymi tańcami. W czasie sejmów rozdawano znacznie szerszym panom bilety, w dni zaś powszednie teatr był otwarty dla wszystkich. Jednakże mimo tego, że wstęp do opery był bezpłatny, mieszkańcy okolicy niechętnie uczęszczali do niego. — Albowiem dyrekcja opery, chcąc zaoszczędzić wielkich kosztów, dawała przez kilka miesięcy jedną i tą samą operę, a języka włoskiego prawie nikt nie rozumiał. Król regularnie zasiadywał w swej loży, lecz widząc nieraz teatr zupełnie próżny, dziwił się, że naród nasz lekceważył sobie tak wspaniałe widowiska. Usiłowania to-

go monarchy, lubo odniosły najpomyślniejszy skutek. Z początku dworzanie gwałtem sprowadzali do opery słuchaczy, łapiąc ich po ulicach, aż w końcu wyrobiło się w całym kraju takie zamiłowanie do oper, że teatr stał się przepełniony.

Ten monarcha, dał właściwie trwały początek, stałej opery narodowej w Polsce. Spowodowała go do tego następująca okoliczność: Pomiędzy kadetami król. korpusu w Warszawie w roku 1776 znalazło się takich którzy posiadali nadzwyczajny talent muzyczny. Stanisław August gdy się o tem dowiedział, rozkazał ich wyszkolić w śpiewie. Pragnął on bowiem usłyszeć samych Polaków wykonujących opery.

Na życzenie jego napisał znany i ulubiony autor wielu komedji, ks. Bochomolce, komedyjkę ze śpiewem, p. t. „Nędza uszczęśliwiona“. Kompozytor M. Kamiński napisał znowu do niej muzykę. W r. 1778 odegrano po raz pierwszy w królewskiej operze, ku ogólnemu zadowoleniu.

Tak więc w roku 1765 polski teatr odtworzył oryginalną polską komedję, taksamo 13 lat później stworzono polską operę, polskim oryginalnym utworem.

Od roku 1778 w wystawionym nowym budynku teatralnym wystawiono za 540 000 złp. (300 000 mkn.) aż do roku 1854 w 5917 wieczorach 281 oper w polskim języku. 92 z nich były zupełnie oryginalne polskie, inne były tłumaczeniami utworów włoskich, francuskich i niemieckich.

Idąc w chronologicznym porządku, napisali aż do Moniuszki: Kamiński 6 oper, Kaptani 3, Wejnert 3,

Fryderyk Franciszek Chopin

napisał Kazimierz Ligoń.

(Ciąg dalszy.)

Pierwszych lekcji muzyki udzielał Chopinowi w Warszawie nauczyciel Żywny, Czech z pochodzenia, uczeń Sebastiana Bacha. Żywny uczył na sposób klasyczny niemiecki, używany wówczas w Polsce.

Już w 8-mym roku, jak czytamy w pewnym czasopiśmie, Chopin ułożył pierwszą swoją polkę, którą od razu zwrócił na siebie uwagę znawców. Młodym kompozytorem zajął się książę Antoni Radziwiłł, wicekról poznański, wielki miłośnik i znawca muzyki, sam nie pośledni kompozytor. Oplacał on za Chopina szkolne w gimnazjum warszawskim, ułatwiając młodzieńcowi także ukończenie nauki muzyki. Postępy Chopina były zdumiewające. W 12-tym roku już rozpoczął improwizować. Pod wskazówkami sławnego mistrza Józefa Elsnera, dyrektora i profesora warszawskiego konserwatorium, skończył kursy harmonizacji, kompozycji i contrepunktów. Wkrótce odezwały się w Chopinie zdolności przyrodzone.

Około roku 1830 ułożył już 2 kompozycje salonowe i warjacje na nutę krakowiaków i polek.

Już w tych małych kompozycjach okazuje się mistrzem doskonałym.

Tymczasem skończyło się powstanie 1831 r. Chopin wraz z innymi emigrantami znalazł się w Paryżu. Lecz oto Paryż, owa stolica sztuk pięknych, gwiazda przewodnia dla młodych geniuszów, gdzie jednoczyły się dalekoidące i wzniosłe zamiary, ów Paryż nie miał zrazu zrozumienia, dla muzyki Chopina. Nastąpiły dla niego ciężkie czasy.

Należało zdobyć sobie imię, zabezpieczyć środki życia, znaleźć wydawcę dzieł, a wszystko zdala od rodziców, od przyjaciół najbliższych, z bólem w sercu, wśród ciągłej niepewności jutra.

Wtakim usposobieniu wystąpił po raz pierwszy publicznie w Paryżu. Zbiorem zaledwie pokrył wydatki własne. W końcu jednak znalazł grono przyjaciół, którzy go wspierali radą i opieką. Fryderyk Kalkbrenner, stojący wówczas na szczycie swej chwały, udzielał mu wskazówek i rad, Camille Peyel zawarł z nim szczerą przyjaźń. Znalazł się nawet wydawca, który podjął się opublikować większe jego dzieła. Kilka jednakże lat minęło zanim zdobył sobie Chopin w Paryżu uznanie tak u Francuzów, jak i polskich emigrantów. Kolonia polska w Paryżu składająca się wówczas, z najwybitniejszych działaczy wśród emigracji otoczyła Chopina swą opieką i dodała mu zachęty do dalszej twórczości. Szczególniejsze zainteresowanie znalazł w rodzinie Platerón, u hrabiny Delfiny Potockiej. W latach 1834 i 1835 wydał swe Mazurki, Walce, Balady i nokturny. Obudziła się uwaga Francuzów. Zachęcony przez emigrantów, ośmielony

Stefani 8, Elsner 27, Bend 1, Wranicki 2, Albertini 1, Kolberg 1, Moniuszko 3, - 4 opery są nieznanymi kompozytorów.

Pewien zastój, jakiemu uległ naród z powodu ustawicznych wojen przez wiek 17., i większą część 18., odbiły się szczególnie na muzyce. Ale gdy publiczność raz już pokochała muzykę, szczególnie ojczystą-narodową, wówczas talent rodzimych mistrzów postępuje się coraz więcej. Sławnym nasz kompozytor Stefani, zaczerpnąwszy śmieiej motywów rodzinnych, trafił żywiej w stronę uczucia polskiego pisząc: „Krakowiaków i Górali“. A gdy z powodzeniem „Halki“, Stanisława Moniuszki przed 66 laty, opera polska stanęła na wyżynie. Dzieło to, zerwawszy zrazu z tragedją włoskich floritów, utworzyło własne rytmy i melodie a przybrało w skończone artystyczne formy, pełne bogactwa i świeżości melodji, wprowadziło naszą narodową do Walhalli sztuki i uczynił imię Moniuszki głośnie i słennem.

Nastąpiło odrodzenie, Chopin, jeszcze przewyższył Moniuszkę, on przez swe kompozycje nawskroś charakteru polskiego przez swe dumki, krakowiaki, polonezy, dał muzyce polskiej stałe piętno światowej sławy. Marsz żałobny Chopina, to potężna boleść narodu, składającego ojczyznę do grobu.

Na tem kończę moje rozprawki o rozwoju dramatu i opery w Polsce, ażeby w następnych feljetonach, zaznajomić czytelników z życiem i dziełami arcyministra muzyki polskiej — Chopina.

Krynica.

przychylnością Francuzów zdecydował się Chopin na drugi występ publiczny.

Stynny Habenek przyjął prowadzenie orkiestry, sala była przepelniona, wszystko rokowało najlepsze nadzieje. Lecz — czy to publiczność nie miała jeszcze zrozumienia dla nowego twórcy, czy to sala była za wielka, by skupić uwagę obecnych, popis nie spełnił robionych nadziei. Niepowodzenie to odebrało Chopinowi wszelką chęć do występów publicznych. Lecz mimo tego imię Chopina stawało się coraz sławniejszym. Utwory jego drukowano nawet w Niemczech, gdzie zyskał sobie wielu entuzjastów.

W tym czasie zapoznał się kompozytor z sławną francuską poetką George Sand. Dziwny wpływ wywarła poetka na Chopina. Ona charakteru więcej męskiego, on usposobiony więcej uczuciowo, miał naturę charakteru kobiecego. W tej walce o sławę i o miłość zachorował ciężko. George Sand śmiertelnie chorego Chopina wywozi na wyspę hiszpańską na to, by wyleczonego porzucić. Lęk o stratę przyjaciółki wyraził nam Kompozytor w improwizowanym preludjum na fis-moll. Jedyna to pozostawiona nam pamiątka owych 6 miesięcy spędzonych na Majorce hiszpańskiej. Chopin tak gorąco ukochał swą wystawicielkę, że do samej śmierci tylko myślał o niej.

Ubieranie balkonów.

Nadchodzi wiosna!

Każdy, kto posiada choć kawałek ogródka, już szykuje rydel i przyrządy ogrodnicze, żeby rozpocząć pracę na swoim kawałku ziemi. Kto nie zalicza się do tych szczęśliwych posiadaczy własnego ogródka, a mimo tego lubownikiem kwiatów i zieleni, wykorzysta każde miejsce swego balkonu lub choćby krawędź okna, żeby je obsadzić kwiatkami lub kuchenną zielenią.

Okno wychodzące na ulicę, użyć możemy oczywiście tylko do przystrojenia kwiatami, miłych dla oka tak mieszkanka jak i przechodnia ulicy. Dlatego na tem miejscu podać pragnę dziś kilka rad praktycznych o strojeniu balkonów i okien.

Ubieranie balkonów dzielimy na kategorie.

Przedewszystkiem ustawiamy lub wieszamy jedne skrzynki na niższej podstawie balkonu, a drugie u szczytu tegoż. Napelniamy ziemią, inspektową lub dobrą ogrodową.

Kategoria I. Jeżeli chcemy balkon ubrać tanio, to siejemy nasiona: rezedy, alisum, albo nasturcję karlową na brzegach skrzynek; zatem siejemy groszek pachnący albo nasturcję pnącą, albo Impomea (powoinik). Do takiego samego obsiewu na głównych skrzynkach, jako ostatni rząd a pierwszy od wewnątrz balkonu — fasole czerwona, która się pnie po tyczkach, sznurkach, drutach — i ona swoją zielonością i kwiatami doskonale dekoruje balkon. Do groszku i nasturcji pnącej dajemy gałązki rosochate do czepiania się.

Kategoria II. Do tej kategorii zaliczamy flance (rozsady) kwiatów letnich, jak: Lobelia, berberis, lewkonie, balsaminy, floksy, petunie, astry, Zinnia.

Kategoria III. Pelargonja trzyma prym, z dodatkiem na niższe obwódki: Gnaphaljum, ageratum, a pod pelargonje: Begonia semperflorens.

Dla zastony balkonu używa się: bluszcz, dzikie lub pachnące wino.

Rośliny na balkonach sadzimy gęściej, jak na kłombach. Sadzimy w takich odstępach, że przy pełnym ich wzroście liście z sobą się zrosną.

Do powyższej kategorii dołączamy ubiór wiosenny: bratkami, niezapominajkami, stokrotkami.

Słoneczne balkony najlepiej się nadają do pięknego zarostu roślin, byleby nie zasuszać roślin w lecie silnie zlewać, a nawet dwa razy: rano i wieczorem.

Co godo Zeflik polityk.

Jest roztomajto polityka: Polityka z mondrym łogonem jak w sprawie wileńskiej, polityka głupio, jak podczas ostatnich wyborów na burmistrza w Honolulu, polityka w chmurach, polityka gnoju i polityka, co się musi mieć dło niej albo tyka, albo kryka, aby jak kocyndry padajom kryjomlejom. Polityka w chmurach robiom dziś wszyscy ci, co wierzom, że roz kiedyś bydzie Miemieć Polokowi bratem albo ujkiem, albo że roz kiedyś Polocy bydom sie wzajemnie całować jak n. p. „Polak“ z „Gońcem“ łod przodku. (Abo sie teraz całujom łod zadku i skuli tego robiom polityka gnoju.) Zaś polityka, co na niom trzeba zaprosić tyka, albo kryka, albo kryjomlejom to jest polityka delegacji miemieckiej w Genewie. Boście już czytali w naszym łoren-downiku, co sie za pora dni przełonaczy na „Głos Poranny“, iż te bezkurje farnońskie jakieś chcom zaprowadzić w szkołach ta nasza kocyndersko godka w szkole. Chto to widziol i slysoł, że dzieci majom sie uczyć pocierza w szkole w godce gornoślaskiej! Pięknie by to wyglądało. Takie głupstwo mogli jeno wymyśleć Ulitzka i inni politycy pempkowi. Jo sie nie chca naśmiewać z religji, ale naprzykład wom przytocza jeno, jakby to wyglondol w wasserpolskiej mowie: „Ojcie nasz“. Otóż według miemieckich życzeń dzieci by tak sie musieli uczyć we szkole ojcie nasz: „Vater nasz, kieryś jes im Himmel, geheiligt bydzie dei Name, przydz cysarstwo twoje, dei Wille geschehe tak jak w niebie tak tyż i na erdzie. itd. Czybyście zgodzili sie na takie rzykanie pacierza. Abo kejby wom ksiądz na kozaniu padoł: „Kochani ludkowie in Christus. Pon Buczek sie bardzo ärgerowol na ta Jewa, co sie dała skusić tej szlandze i skuli tego wygnoł jom fört i Adama raus aus dem Paradies. Jo myśla iżbyście sie mocno zgorszyli takim kozaniem. Przeca co innego godka pomiędzy nami a co innego mowa poprawno-polsko w kościele, w szkole i kajindziej. Nasze wszystkie śpiewniki by musiały sie przełonaczyć, bo w śpiewnikach i w książkach modlitewnych modlimy sie poprawnie po polsku. Pan Bóg by nos tyż nie zrozumioł w takim wasserpolskim miszmaszu. A jeżeli używomy naszej godki, to tylko w żartach, ale ani w gazetach, ani w kościele, ani w książkach nigdy nie byto wasserpolskiej mowy. Jobych chcioł slyszec te larmo u miemców, kiebyśmy w polskiej części, tak tyż chcieli zaprowadzić w szkołach niemieckich wasserdeutsch, albo plattfussdeutsch, albo jak sie tam ten hinterdeutsch i Stammtischdeutsch wogóle sie nazywo. Coby tak pedzieli, gdyby sie te małe niemcówki w szkole musiały sie uczyć: Vata unsa, da du bist a ei da Himmla. Toby zaros miemcy pedzieli: Ja, Bauer, det is was andres, vastehste? Ale nom, toby chcieli paskudzić język we szkole. Z takiej polityki jednak nie bydzie, bo nasze kryki zabierom sie do takiej polityki, jak nie bydzie inaczej a potem tako głupio miemiecka polityka łatwo zamieni sie na boli tyka.

Na inny roz więcej.

Zeflik.

Małe rzeczy.

U wielu narodów, wyróżniających się pośród innych łaodem, porządkiem, dobrobytem i zdrowotnością, spotykamy przyslowia mniej więcej tej treści: „Nie należy lekceważyć małych rzeczy, gdyż duże rzeczy składają się z małych.“

Słowa te mają głębokie bardzo znaczenie i są bardzo ważne w życiu ludzkim. Można je zastosować, mówiąc o zdrowiu, o wykształceniu duchowym i fizycznym, czyli cielesnym, o oszczędności, porządku, czystości, zaletach moralnych i prawie we wszystkich przejawach działań ludzkich.

Każde ciało materialne, każda rzecz, składa się z cząsteczek napozór nieznaczących, lecz te właśnie cza-

steczki, z których ta rzecz się składa, stanowią o doskonałości tej rzeczy.

Tak samo dobro moralne człowieka, jego duchowa wyższość składa się i złożyła się z czasem z drobnych napozór, lecz bardzo ważnych wartości. Kto ćwiczy się w drobnych cnotach, łatwo może osiągnąć wielkie. Kto potrafi gospodarować na małym gospodarstwie, może z czasem łatwo je rozszerzyć i dać sobie radę z dużem.

Drobne oszczędności tworzą wielkie. Naodwrot — zaniedbane i nienaprawione małe rzeczy złe mogą utworzyć złe rzeczy wielkie. Kto nie naprawi małego zła w stanie swego zdrowia, kto nie opatrzy małej dziury w dachu, lub w ubraniu — może się doczekać, że te małe rzeczy staną się dla niego dużymi rzeczami złymi lub klęską.

Mieszkańcy pewnego kraju, chcąc podnieść przemysł ojczysty, dali sobie słowo, że przedewszystkiem nie będą kupować u obcych szpilek i różnych drobiazgów. Zamiar swój wykonali i po pewnym czasie przemysł ojczysty tak się rozwinął, że życzenia ich zostały spełnione i przeszły nawet oczekiwania — powstały fabryki nietylko szpilek, lecz i maszyn.

Odkładając tylko po groszu dziennie, po latach zbierzemy kapitalik. Ćwicząc się w doskonałościach drobnych, po pewnym czasie nie spostrzeższy nawet kiedy, stajemy się doskonalsi. — Jeżeli rolnik nie wytepi na roli swej jednego chwastu, to wkrótce cała jego rola porośnie chwastami, które zboże zagłuszają.

Ktoś wybrał się w drogę daleką, jechał pędkiem, lecz ponieważ zapomniał nasmarować kół wozu i zaopatrzyć je dobrze, stanął pędkiem i nie dojechał.

I tak we wszystkim. Ten dochodzi do wielkich pożytecznych rzeczy, kto dba o małe pożyteczne rzeczy. Kto zaniedbuje małe, ten może zaniedbać i duże. Powtarza się to często w życiu pojedynczych ludzi i narodów.

AFORYZMY.

Aforyzmy Perskie.

Nie chodź często w odwiedziny
nie będą ci radzi
choćby nawet do rodziny
nie chodź często w odwiedziny.

Jeśli wolne masz godziny,
przespać się nie radzi —
nie chodź często w odwiedziny,
nie będą ci radzi.

—oO—

Osieł koniem się nie stanie,
choć go schłostasz batem,
choć mu codziennie sprawisz lanie,
osieł koniem się nie stanie.

Nadaremno twe staranie,
daj więc pokój zatem —
osieł koniem się nie stanie,
choć go schłostasz batem

Humorystyka

Niewinny.

Żona: Ze też ty musisz ostatni z szynkowni wychodzić!

Mąż: A cóż ja winien, do stu katów, że inni idą tak wcześnie do domu?

W zapale.

Dama: Więc polecasz mi pan ten welon ślubny?

Kupiec: O tak pani, bardzo dobry gatunek, można go nawet częściej używać.

JAN Z KOLNA.

Powieść.

TERESA JADWIGA.

4)

Znosili odwrotnie te wszystkie przeciwności; lecz kiedy po kilkumiesięcznej podróży nigdzie nie mogli łądu dojrzeć, gdy spostrzegli przytem, że zapasy żywności, które zabrali ze sobą, zaczynają się wyczerpywać, wtedy odwaga zaczęła ich opuszczać. Zwątpienie, wkradłszy się w ich serca, zasiało w nich ziarno niezgody; Jan musiał znosić codziennie od swych towarzyszy przykre wymówki, iż namówił ich do tak niebezpiecznej wyprawy.

— Zginiemy przez ciebie śmiercią głodową na tej wodnej pustyni; odpowiesz Bogu za zmarnowane nasze życie, za łzy naszych rodziców, żon i dzieci — mówili mu z goryczą.

Inni unosili się gniewem, złorzeczyni i grozili śmiercią.

Jan cieierpiał okropnie, żal mu było bowiem tych ludzi; nie upadł wszakże na duchu, wierzył wciąż silnie, iż jeśli wytrwają yłko, znajdą łąd nowy. Słowami pokoju i powagi przemawiał do ych słabych ludzi i przykładem zachęcał ich do wytrwania. Ale cóż mogły pomódz jego słowa, gdy coraz smutniejszy los im zagroził!

Codzienną skromniejszą porcję chleba i solonego mięsa rozdawał tan swym towarzyszom i codziennie głośniejsze szemranie podczas rozdawania posiłku podnosiły się na pokładzie okrętowym.

Obiad odbył się zwykle w samo południe. Wyczekiwali wszyscy tej godziny niecierpliwie, gdyż dla oszczędności podróżni jadali raz tylko na dobę. Jan nigdy nie spóźniał godziny posiłku: gdy słońce wskazało południe, zjawił się zawsze na pokładzie i rozdawał żywność załodze, zachęcając przytem do cierpliwości.

Jednego dnia wszakże, lubo słońce wzeszło już wysoko, on nie pokazał się mimo to załodze; zrazu ma, rynarze czekali cieierpliwie, myśląc, że zdrzemnął się nieco, lecz gdy czas upływał, głód dawał się we znaki, a dowódcy statku nie było widać i kosza żywności również, poczęli ustawicznie spoglądać ku kajucie, gdzie Jan schronił się był od rana.

— Czy myśli nie dać nam nic dzisiaj? — pytali siebie wzajemnie.

Słońce powoli zaczęło zachodzić, niecierpliwość majtków wzrosła, głuche zrazu niezadowolenie zmieniło się niebawem w groźne szemranie.

— Chleba chcemy! — poczęły odzywać się pojedyncze głosy.

Potem naraz ze wszystkich piersi wyrwał się groźny okrzyk:

— Chleba! chleba!

Słowa te odbiły się o ściany kajuty, dosłyszał je Jan i ręce załamał z rozpacz.

On już dawno wiedział, iż zapasy żywności są wyczerpane, że nie będzie tego dnia co dać jeść załodze, ani dni następnych; lecz liczył się z możliwością, ulowienia jakiejś ryby, że może ziemię nową odkryją wreszcie....

Tymczasem południe minęło, nadzieje jego spełzły na niczem, a załoga wołała:

— Chleba!

— I cóż im powiem teraz — pytał sam siebie. — Ha, trzeba prawdę powiedzieć: niech mnie sądzą niech mnie karzą, jak zechcą.

To powiedziawszy, ujął krucyfiks, stojący na stole, postąpił pewnym krokiem naprzód i stanął na pokładzie spokojny, z czołem śmiało podniesionem.

— Bracia! — rzekł drżącym od wzruszenia głosem, — sądźcie i karzcie mnie: nie mam już dla was chleba. Lecz, Boże, Ty świadkiem przeciw jesteś — do dał, podnosząc wzrok ku niebu, — żem nie zawinił względem tych ludzi, że nie namawiałem nikogo do tej podróży, przyjmowałem tylko tych, którzy się prosili na mój okręt.

Słowa te i powaga, z jaką były wymówione, oddziaływały na wzburzonych marynarzów; przynali słusność Janowi. Sami dobrowolnie przedsięwzięli tę podróż, sami prosili go, aby ich zabrał; tylko chęć zysku, tylko nadzieja zdobycia skarbów popchnęła ich do tej niebezpiecznej podróży, ponosili zatem karę za swą chciwość.

(Dokończenie nastąpi).